ROK I.

gazetka

Miesięcznik Samorządów
uczniów gimnazjów
krakowskich

Kwiecień
1934

Nr.
6

Nr. 6 Cena 10 gr. Rok 1.

Gazetka

Miesięcznik Samorządów uczniów gimnazjów krakowskich

Kraków, kwiecień 1934 r.

Epos śniegiem przysypane.

Pewnie tylko po to przyjacielu czy przyjaciółko słuchasz tej opowieści, aby doczekać się końca. Zwykle całe opowiadanie jest amboną, z której opasłe i przemądre zakończenie prawi ci kazanie. Często jest wielostrunnym, srebrem dźwięczącym instrumentem, a koniec grzmi gromem. — Tym razem jednak nie czekaj końca... Jest on szary, jak śnieg w chmurny poranek, beznadziejny, jak deszcz dudniący w rynnie, nieskończony i nierozstrzygnięty. —

Opowieść zaczyna się banalnie.

Gdzieś na zaklejonem, topniejącym śniegiem molu, kilku zaledwie ludzi machało chustkami, ciężkiemi od łez. Komin łamacza lodów wygniatał masy burego dymu. Dym rósł w parometrowy, pionowy lej i rozwiewał się. Syrena głuszyła płacz czyjś. — To było wszystko, tylko wąski pasek czarnobrązowej wody grubniał i jakby upity łzami i rozpaczą oddzielał Czeluskina od lądu. Był przestrzenią nie do przebycia. — Wszystkim było nieswojo i głupio. Trwało chwilę. Ale taka chwila przecina automatyczne, niezamierzone słowo: „dowidzenia" na „do widzenia", i kładzie akcent na drugim wyrazie. Człowiek człowiekowi rzuca się na szyję tym wyrazem. Słowo wydłuża się w sentymentalne ramiona, wzywające do powrotu.

Po takiej chwili prędko przychodzi wstyd okazanej słabości i Świetłow, brat uczonego, członka wyprawy podbiegunowej, nie czekając, aż statek zniknie na horyzoncie, przez nory uliczek portowych zwrócił się ku miastu. Z wysiłkiem pozbył się z twarzy melancholijnego uśmiechu, wiążącego mięśnie. — Wiedział, że obowiązkiem człowieka jest służba społeczeństwu i wierzył, że z rozkoszą narażałby się na największe niebezpieczeństwa. Na razie nie miał do tego sposobności, to też popadł w marzenia i zatopiony w swe sny o potędze, szedł. —

— Uczony Świetłow już czwarty dzień przespacerował po pokładzie. Był zły. Usta napięte na zębach zwęziły się w sine pasemko. Wyżej sterczał gruby, silny nos i zamykał twarz nad brodą słabą, cofniętą aż do szyji. —

— Ambicja! Tylko ona sprawiła, że stał teraz na pokładzie Czeluskina, uwięzionego w krach. — Ambicja!

Maszyny stanęły i słychać było tylko opukiwanie burt. Czy wytrzymają?

— Ambicja! Miał przecież wszystko. Był pełnowartościowym człowiekiem w dalekiem mieście. A teraz...? Był uczonym meteorologiem na osaczonym lodami łamaczu. — Ambicja!

Ta myśl szarpała świadomością i nie myślał nawet o grożącem niebezpieczeństwie. —

Na statku ludzie spełniali swój zawód. Nawet nie obowiązek, tylko zawód. Tak poprostu i bez gadania, że to trudno nawet wam opowiedzieć. — Andrzej okutany w futra młoteczkiem badał siły burt, a kilku podróżników wybierało najlepszą drogę na wypadek, gdyby statek tonął. Czynili to z takim samym patosem, z jakim odsuwam, zawadzający mi stołek.

To byli bohaterzy — to byli ludzie.

Nie myślał o tem uczony Świetłow. A Michał stał przed uczonym. Uczonemu zdawało się, że Michał chce coś powiedzieć, że chce coś krzyknąć, to też zrobił mimowoli zapraszający ruch ręką, ale nie powiedział „proszę", zły, że go ktoś niepokoi.

— Jestem włóczęgą — powiedział Michał, a uczony spojrzał na niebo, które zamykało świat burą, brudną błoną.

— Gdy byłem mały, całemi dniami włóczyłem się po polach. Potem znienawidziłem miedze, połamane, krótkie, urywane, pocięte. Pokochałem wy-

śnioną miedzę, bez końca, o której marzyłem, patrząc w błękit. Jestem włóczęgą!

Uczony uśmiechnął się, bo spostrzegł patetyczny gest nóg chłopaka, wtłoczonych w deski pokładu i połyskujące sentymentalnym ogniem oczy.

— Czasem zapatrzony w drogę ze szczytu do strumyka, pozbawioną perspektywy, myślałem o śmierci, jak oi nowej włóczędze. Chciałem się rzucić ze skały!

Uczony nagle spojrzał na niebo, bo zdawało mu się, że chmury spiętrzyły się w granatowy, groźny stos.

— Może zbliża się burza — powiedział.

Chłopiec, jakby przygnieciony temi słowami, opadł na paczkę i jęknął:

— Dlaczego ja jestem włóczęgą? —

Uczony pomyślał sobie, ni stąd ni zowąd, że już i tak wszystko stracone i mruknął:

— To jest proste. —

Michał zakrył twarz, jakby chcąc zostawić pytanie nierozstrzygnięte! Ale Świetłow już prawie, że krzyczał.

— Bo było ci mało tam, gdzie byłeś. Bo chcesz czego innego. Bo jesteś niecałym człowiekiem.

Ostatnie zdanie powiedział przyciszonym głosem, bo usłyszał suchy trzask i zanim jeszcze ktoś objaśnił go, przeczuł katastrofę...

LÓD JEST SILNIEJSZY OD DNA OKRĘTU.

...Nie patrzył też na Michała, a ten wstał, zmrużył oczy, jakby oślepiony nagłym błaskiem i za chwilę siadł z porwrotem, ale bardzo powoli i ostrożnie, mrucząc:

— Zrozumiałem się. —

I kiedy wszyscy z pośpiechem opuszczali Czeluskina wynosząc bagaż, chłopiec ogłupiały siedział na pustej, opuszczonej pace, której przecież nikt nie ratował.

Dziesięć namiotów wtuliło się w lód olbrzymiej kry, błądzącej po Arktyku. Tylko strzała, wskazująca samolotom miejsce lądowania, wyraża nadzieję.

Uczony Świetłow wyszedł do aparatów meteorologicznych. Od dziesięciu już dni zapisywał na białym skrawku papieru po powrocie do namiotu temperaturę o dziesięć stopni niższą. Zwarjował. Nie wytrzymał bohaterskiego rytmu niepisanej epopei.

— Na namioty padał śnieg. Całemi pokładami równo nakładał warstwy na ciemne płótno schronów. Nieustannie zsypywał się z chmur. Wiatr gra jeszcze na złowróżbnej piszczałce. Ciężkie chmury wiszą i uczony owładnięty manją zapisuje —120 C., nie mogąc wyjść z namiotu. Śnieg przysypał wejścia...

...A co się dzieje wewnątrz?

Nie wchodźcie tam! Powiem!

Dwa słowa. Powiem wam je cicho, szeptem, wstydliwie. Chodźcie tu bliżej. Nie godne są one eposu. Odwonię je jednak z patosu i zakłamania i powiem, jak przyjaciel przyjacielowi...

— Dwa słowa: Oni giną. **aka 358.**

Morze! dawne morze!

Szaleja piachy złote liże
karaceną lśnią fale
słońce przez wiersze i więcierze
morze zasnuwa opalem . . .
bryza
na bardunach
i wantach
żeglarskie pieśni gra

— .. jeglije stare na wiszarze
słowiańskie stare naciosy
są brzegu kurdeszem —
ryza
morze ryje
... litkupy pije
„Hyś! żagle brasować“

dmie siewierz, okrętnicy pną się po łęcinach
„hej! dobra pławka — wiatr posmyczny „Porwa!!“
— retman lufuje statek... na linach
pnie się z zbrojną ręką — bandera orla

Kosa
tnie powietrze
...w zydwestrze
z jaty patrzy bosman

jeglije stare na wiszarze
lechickie stare naciosy,
...wasz zapach jest na banderze
ruchawa
o burty
sztymborki, bokorty
słowiańską klechdę gra

..— Wierzeje morze otwarło szeroko
„kotwice nasze są ze stali“
o husarskie miecze się oparło
szumem srebrzystej swej fali...—

T. Hołuj 358.

—o§o—

Poco i jak się oszczędza?

Cóż za nudna piła z tą oszczędnością i czy można włazić na szpalty pisma uczniowskiego, z tematem mniej aktualnym? Niech się giełdziarze, finansiści i inni burżuje o to martwią (albo koń, co ma duży łeb). Bo cóż tu mówić o oszczędzaniu przy niepewnych fluktach, noszących budżet uczniowski. Jeśli się ma stałą pensję od rodziców, to jest ona tak niewielka, że ledwie starczy na rzeczywiste potrzeby i podtrzymywanie prestiżu. Jeśli zaś jest się uzależnionym od dobrego humoru dalszych krewnych, lub uroczystości rodzinnych — gwiazdek, jajek, imienin — tem mniej można być pewnym wpływów. W dodatku mają one zwykle określony charakter: na kino, na mecz, na wycieczkę, lub rower. Dostaje się więc dokładnie tyle, ile przyświecający darowiźnie cel ma pochłonąć. W wypadkach zaś, kiedy daje się korepetycje, dowodzi to faktu niewystarczalności rodzicielskiej pomocy — trzeba więc pokrywać luki mieszkania, czy utrzymania. W dodatku koledzy oszczędzający to przeważnie nudne sknery, skąpiący i na kino i na wodę sodową — i wcale nie korci brać przykład z tych niemrawych kompanów.

Są jednak chwile w życiu człowieka, w których tenże zmuszony okolicznościami, oddałby pół królestwa (gdyby je posiadał) za możność pożyczenia np. ...od ...siebie samego. Oto wyskoczyła nagła, jadowita potrzeba pieniędzy, nieraz złotego, nieraz i dwóch, a choćby i pięćdziesięciu groszy. No i tak się akurat złoży katastrofalnie, że jeden kolega niema, drugi nie pożycza z zasady, a trzeciemu jesteśmy winni niestety, pięć złotych jeszcze z pierwszego półrocza i wogóle staramy się nie wszczynać z nim dłuższych rozmów, jako że stosunki się nieco oziębiły. No i wal głową o mur. Czyż nie dobrze byłoby w takim nagłym przypadku mieć kilkanaście, lub kilkadziesiąt złotych na książeczce w P. K. O., z których bez narażenia na szwank ambicji możnaby sobie pożyczyć w krytycznym momencie, nikogo się nie prosząc i nikomu nie opowiadając. No, a już niechybnie we własnym interesie leży oddanie tej sumy w najkrótszym terminie, bo to jest właśnie ta przysłowiowa bliższa ciała koszula, o którą się dba. Bo doprawdy najsprawniej działającym motorem przy ciężkiej kwestji oszczędzania jest ambicja, człowieka i dżentelmena. Pomyśleć tylko, uskubując sobie coś stale z wydatków, dochodzimy do pewnego stanu posiadania, który w życiu codziennem całkowicie uniezależnia nas od środowiska, jak dobrego pływaka od wody. Niema już tego przykrego skurczu w gardle przy sakramentalnem: „czy nie mógłbyś mi czasem — zawsze to okrągłe, pseudo nonszalanckie „czasem" — pożyczyć do jutra?"... Ach, Boże to jutro, to jutro zdradzieckie, rozciągające się mimowoli i wbrew woli, nieraz na tygodnie i miesiące... Udaje się zwykle raz i drugi. Ale na trzeci słyszymy nieraz — „znam twoje jutro" — na który to zwrot chciałoby się dać kałamarzem w łeb wierzycielowi. Bo, czy zauważyliście, że wierzyciel — zdawałoby się brat, zbawca, przyjaciel w wyniku nawet pomyślnych z nim tranzakcji, najczęściej budzi w nas wrogie uczucie? To nasza ludzka natura mimowoli bierze odwet za doznane uczucie upokorzenia, za owe gładkie nieomal pogwizdujące (od sztucznego niechcenia) między opinją o książce lub wiadomość sportową wtrącone „czy nie mógłbyś czasem". W to „czasem" zaplątało się i nie jedno słowo honoru, boleśnie i upakarzająco niedotrzymane, a które tak uporczywie trzyma się pamięci tego, co ma nas w ręku — bezbronnych i niepewnie na własnych nogach stojących.

No, a jakże przedstawia się praktyczna strona, realizacja tego trudnego zagadnienia dla niewytrenowanych. Od czego zacząć i jak dojść do poufnego zbliżenia z P. K. O. Patałachom (bo i to także jest sport ze startem i finishem) doradzić, by postarali się przedewszystkiem o skarbonkę. Stwarza ona sprzyjającą atmosferę dla trudnego początku, tkwi w niej element organizacyjny. Piękne żelazne skarbonki, które niejednego już wyciągnęły z tarapatów pieniężnych, posiada P. K. O. w cenie 30 gr., obarczając ponadto urzędników pocztowych, opróżniających je z wkładów, obowiązkiem ponownego zalutowania na poczekaniu i oddania właścicielowi. Bardzo dobrym wstępem do funkcji oszczędzania jest systematyczne wyzbywanie się miedziaków na rzecz tejże skarbonki (konsumcja jej, czyli pojemność jest dość znaczna). Wyjmowanie z portmonetki miedziaków i wrzucanie ich do skarbonki bardzo łatwo staje się przyzwyczajeniem, a uważanie ich za nieistniejące w czynnym budżecie, nie wyrządzi nam zbytniej szkody. To się dzieje niewiadomo jak, no i niewiadomo kiedy. Większa suma gromadzi się szybko i można zgóry snuć sobie co do niej konkretne projekty, lub uważać ją w nagłych wypadkach pieniężnej potrzeby, za deskę ratunku. Oto zdarza się w życiu uczniowskiem okazja (a okres akademicki te okazje pomnoży), nabycie rzeczy upragnionej, przyborów sportowych, narzędzi technicznych, ubrania, lub poprostu nasunie się kusząca perspektywa większego wydatku: podróży, wycieczki, urządzenia sobie tak czy inaczej wakacyj maksymalnie szczęśliwych. Zamiast szarpiących nerwy prób zdobywania pieniędzy — P. K. O. czeka z całą gotowością w każdym miejscu, gdzie mieści się urząd pocztowy na nasze zgłoszenie. A dlaczego właśnie P. K. O. Bo Pocztowa Kasa Oszczędności jest instytucją primo: mającą wszelkie gwarancje bezpieczeństwa wkładów, sekundo: najlepiej przystosowaną do sprężystej obsługi klientów, dysponujących najmniejszemi sumami (wkłady od 1 złotego w zwyż). Obejmuje ona pozatem swoim zasięgiem nawet najbardziej „zapadłe" miejscowości".

Jedynym więc racjonalnym użytkiem, jaki zrobimy, z pierwszej wolnej złotówki — będzie złożenie jej na książeczkę P. K. O.

—o§o—

Tragedja klasy.

Na drugi dzień w klasie znów pyta się prof. Liszkowicz, kto rzucił gąbkę? Nikt. Wreszcie wstałem po długim namyśle. Wiem, że później, mimo, że mi to wytykał nieraz przy niejednej sposobności, cenił we mnie szczerość i tę odwagę cywilną.

Wogóle w pracach gminnych brał żywy udział i zaprawiał nas od najniższych klas do pracy społecznej.

Na wycieczkach, czy majówkach nie było lepszego nad niego towarzysza. Umiał zachować powagę profesorską, a zarazem wśród dowcipów i wesołości — być jak dziecko wesołym i miłym.

Ciekawa również i nieco nawet dowcipna jest geneza jego przezwiska „Pietruś". W jednej z klas wyższych, zdaje się przy lekturze Wergiljusza, sielanek, temat nasunął rozważania o życiu wiejskiem i jego przyjemnościach. Ponieważ jego zwyczajem było przytaczać przykłady z własnego życia, na potwierdzenie pewnych teoretycznych, więc też i wtedy, chwaląc życie wiejskie, zaczął opowiadać pewne własne przeżycie, które mu się zdarzyło na wsi, gdy był tam u swego ojca jeszcze w młodości na wakacjach. Otóż raz w nocy poszedł spać do kopy, skoszonego siana, a było mu tam bardzo przyjemnie i miło. Ojciec, gdy rano wstał poszedł go szukać i wołał ponad rzeką (była ta łąka nad rzeką) Pietruś! Pietruś!

Można sobie wyobrazić, jak młodzież zareagowała na to opowiadanie, dość na tem, że od tego dnia zaczęto go w całem gimnazjum nazywać tylko Pietrusiem. Poczciwy, dobry Pietruś. Te jego realistyczne opowieści zawsze były brane z komicznej strony przez chłopców; mieliśmy wielki mimo wszystko do nich szacunek, nie były one żadną fantazją, ani zmyślonemi powiastkami, miały w sobie wszystkie cechy prawdziwości i pewności, wobec czego wzbudzały w nas zaufanie i podkreślały wartość twierdzeń czy pouczeń profesora. Możnaby było przytoczyć cały tom wspomnień o niezapomnianej pamięci profesorze Liszkowiczu. Wtedy właśnie opowiadaliśmy sobie te najcharakterystyczniejsze i najbardziej wszystkim znane szczegóły. I taka wtedy wywiązała się między nami rozmówka wesoła, mająca cały niezapomniany urok i czar codziennej pogawędki pauzowej.

Nazajutrz znów staliśmy tak zgromadzeni, ale już w innym zupełnie nastroju. Nie było ani głośnych rozmów, ani śmiechu uczniowskiego, wszystkich twarze były jakby pobladłe, strute przerażeniem wieści.

Profesor Liszkowicz już nie żył!

I znów to kołatało nam w głowie, to uporczywe przekonanie: Nie, to niemożliwe!

A jednak już nie żył.

Śmierć padła jak piorun w nasze stado, zabijając pasterza.

Byliśmy bez przewodnika, strwożeni, a w oczach każdego można było wyczytać nieme pytanie: A co dalej? Wzrok ludzki jest tępy i nie przewierci przyszłości. Dzisiaj trudno już było powstrzymać w piersiach potok słów: Oto człowiek najidealniejszy, jakiegom spotkał dotąd w życiu; albo: Takiego profesora i wychowawcy już chyba nie spotkam nigdy; albo: To drugi, cichy Sokrates, to męczennik nauczycielstwa i t. d.

Ogarnęło nas ciche uniesienie wdzięczności. Pogrzeb kochanego wychowawcy miał się odbyć w Makowie Podhalańskim. Większa część chłopców pojechała żegnać szczątki, aż tam, gdzie pragnął spocząć. Rzeczywiście, pogrzeb zamienił się w wielką manifestację żałobną jego uczniów tak byłych, jak obecnych.

Nie mogę nie wspomnieć jeszcze jednego, dosyć przykrego zresztą epizodu, gdy wracając z powrotem do Krakowa, zapomnieliśmy zupełnie chwilowo o tem, że przed chwilą pochowaliśmy swego nierozłącznego towarzysza, swego kochanego profesora. Nie wiem, czy piękna majowa pogoda tak podziałała na nas, czy słońce, czy dziecięcy jeszcze wtedy temperament, ulegający zbyt łatwo różnym nastrojom, dość na tem, że powrót z pogrzebu zamienił się w wesołą majówkę, nie mającą nic wspólnego z żałobą i trumną.

Dziś, po upływie kilku lat różnych doświadczeń na terenie szkoły, wracamy chętnie do wspomnień po zmarłym swoim wychowawcy. Nieraz, gdy tylko zbierze się nas grupka byłych jego uczniów, zaraz mówimy: Gdyby ś. p. Liszkowicz był żył, nie bylibyśmy tak rozprószeni po innych gimnazjach, napewno wspólnie zdalibyśmy maturę.

Rzeczywiście, ten smutny wzrok w pierwszym dniu po śmierci prof. świadczył, że cała nasza natura przeczuwała coś tragicznego w tym wyłomie, uczynionym wśród nas. Okropny cios odkruszył nam część naszej nierozłącznej całości, a nas rozsypał po świecie...

Dzisiaj tylko kilku byłych jego uczniów zdąża dalej normalnie do celu — do matury — reszta rozprószyła się gdzieś po innych szkołach, pozostała w tyle lub przeszła do innych zawodów.

Napewno, gdyby on żył, nie dopuściłby do tego. Ten ojciec naszej klasy rozumiał nas tak, jak nikt inny.

Tylko myśmy go późno pojęli.

Młodzież jednak potrafi być wdzięczna. Na duszach naszych postać Piotra Liszkowicza wyryła niezatarte piętno, które jest wiecznym pomnikiem nietylko wdzięczności, ale i uznania dla jego bezgłośnej, wytrwałej, bohaterskiej pracy pedagogicznej.

(Koniec).

B. Kruczkowski, gimn. 357.

Na gontynie u K. H. Rostworowskiego.

Czy wiecie, co to jest i gdzie jest „Gontyna"? Idę Zwierzyniecką, potem niekończącą się ulicą Kościuszki, aż do starego, potężnego klasztoru Norbertanek; potem pod górę, ku kościołowi Salwatora, bielejącemu wśród drzew.. Po lewej stronie zostawiam jakąś kaplicę, czy kościółek, zbudowany z prostych, gładkich desek na miejscu, gdzie niegdyś stała pogańska świątynia, czy gontyna.

I dlatego może na pierwszym domu przecznicy, w którą właśnie skręcam, widnieje tablica z dziwnym — jeżeli nie historycznie, to językowo — napisem: »ul. Gontyna«.

Wchodzę powoli pod górę, między rozkosznemi willami, pośród ogrodów, aż nagły zakręt otwiera mi widok na znajomy dom. Tu mieszka Karol Hubert Rostworowski.

Wczoraj otrzymałem od niego obietnicę, udzielenia wywiadu dla »Gazetki«. Stojąc przed bramą, myślę z lekką emocją, że człowiek, który za chwilę będzie ze mną mówił, to przecież człowiek, który stworzył, obdarzył mocnem, gorącem życiem i rzucił w świat, na dolę i niedolę, tyle istot ludzkich, nibyto fikcyjnych, lecz jakże realnych, bo ukazanych w działaniu, w twardej prawdzie życia! Myślę o tłumach, które zwołał i którym kazał drgać wszystkiemi uczuciami — o tłumach z Miłosierdzia, z Antychrysta, z Czerwonego Marszu...

Wchodzę do środka. Przez oszklone drzwi do werandy bije złota łuna zachodniego nieba. Pod tym płomiennym firmamentem ciemne wzgórza — w dole wspaniały, szeroki zakręt Wisły. Promienie wpadają do wnętrza, głaszczą obrazy na ścianach, ślizgają się po fortepianie. Na ich tle rysuje się ostry profil gospodarza.

Mówimy przedewszystkiem o „Judaszu", wystawionym obecnie w teatrze im. Słowackiego. Poruszam kwestję, o którą zawzięcie walczą krytycy: czy Judasz własnowolnie pogrąża się w zło, czy też jest on nieszczęśliwcem, pchanym do niegodziwości fatalną siłą, lub biednym człowiekiem, opiątanym, steroryzowanym przez potężniejszych i sprytniejszych kapłanów żydowskich? — Nie. Judasz, powiada Rostworowski, to strasznie lichy charakter, to wielki moralny patałach, dążący wyłącznie do zysków doczesnych — bogactwa i władzy; czujący wielkość, lecz nie chcący nigdy się do niej podnieść; nienawidzący apostołów, którzy ją posiadają. Dlatego też, mimo wysiłków żony Racheli, chcącej go w ostatniej jeszcze chwili uratować, dochodzi do stanu, w którym nic go nie może cofnąć na drodze do zbrodni. Rolę Judasza świetnie gra teraz Karbowski, z którego jestem ogromnie zadowolony.

Przechodzimy zkolei do czego innego: do Akademji Literatury.

— Akademja Literatury? Z powodu choroby nie opuszczam Krakowa, nie byłem więc na żadnem z jej zebrań. Uważam, że powinna być wyposażona w znaczne fundusze i zużywać je po pierwsze na tanie wydawnictwa najwybitniejszych dzieł, po drugie na pracę około utrzymania czystości języka, przez wydawanie słownika, po trzecie na stypendja dla niezamożnych, a utalentowanych literatów.

— Podobno na jednem ze zebrań Akademji, poruszano sprawę nauczania języka polskiego?

— W zebraniu tem, jak i w innych, udziału osobiście nie brałem; opinję mą o kwestjach, znajdujących się na porządku dziennym wyraziłem listownie; nie mogę więc wiele o tem powiedzieć. Uważam, że nie powinno się obrzydzać uczniom najpiękniejszych utworów naszej literatury przez zamęczanie — rozmaitemi przesadnemi rozbiorami i analizami. Z drugiej strony, trzeba jednak wziąć pod uwagę to, że większość uczniów nie czytałaby, gdyby tylko mogła się od tego uchylić, prawie żadnego dzieła, będącego przedmiotem lektury szkolnej. Cóż więc robić, jak nie stosować przymus? Może jednak coś z tego na później zostanie.

— Co myślę o dzisiejszej młodzieży? Uważam, że jest zupełnie taka sama, jak dawniej. Jeżeli są różnice, to tylko zewnętrzne, powierzchowne. Za moich czasów siedziało się w knajpie i grało w karty; teraz chodzi się na boiska sportowe. Panowały poglądy liberalne, wolnomyślne; rzadko wymawiano słowa religja, katolicyzm i t. d. Dzisiaj wolno mówić „katolicki". Lecz, czy młodzież jest rzeczywiście bardziej wierząca? Czy charakter jej zmienił się? Nie sądzę.

— Młoda literatura? Powieść się doskonale rozwija mamy utalentowanych pisarzy. Choromański, bardzo tęgi talent, Dąbrowska, Kudliński, Rusinek, autor »Burzy nad brukiem«, (za które to dzieło, dodaję od siebie, otrzymał tegoroczną, a zarazem pierwszą nagrodę literacką Krakowa).

W tym momencie słońce gaśnie za grubą, brudno - niebieską chmurą. W pokoju nastaje półmrok, gdy mowa o... poezji.

— Z poezją słabo. Nie może się wciąż otrząsnąć z charakteru kabaretowego: dużo sztuczek rozmaitych, ale niema dna, niema treści!

I energiczny ruch ręką podkreśla te słowa.

A dramat? Nic nie widać u młodej generacji. Doskonała była „Sztuba" Leczyckiego, bardzo dobra sztuka; niestety następne dzieło tego pisarza nie stało już na takim poziomie.

Mówię teraz o »Czerwonym Marszu«, sztuce Rostworowskiego, osnutej na tle Rewolucji Francuskiej, czytanej ostatnio w Starym Teatrze. Utwór ten uderza zastosowaniem najnowocześniejszych środków dramatycznych; jest on właściwie rewją, gdzie główną rolę gra dusza tłumu, a konferensjerem jest koryfeusz, spełniający też niejako rolę chóru tragedji greckiej.

— Czerwony Marsz? Tak, nie mam jeszcze ustalonej koncepcji, jak rozwinąć to dzieło. Być może stworzę trylogję, całą w tej formie syntetycznej, rewjowej, jak utwór czytany ostatnio; pierwsza część obejmowałaby ostatnie czasy Ancien Régime'u, drugą stanowiłby wspomniany utwór, trzecia objęłaby czasy Napoleońskie, aż do jego śmierci, z uwzględnieniem jego polityki w stosunku do Polski.

— Forma zupełnie nowa, oryginalna... mówię.

— Dlatego też chciałbym napisać taką trylogję. **Lubię zmieniać, iść ciągle nowemi drogami.** Może jednak napiszę tylko dramat o formie „klasycznej", na tle samej Rewolucji i pod tym samym tytułem.

Czy wszystkie punkty wywiadu wyczerpane?

— Tak, odpowiadam i dziękując wstaję.

— Ależ zostań jeszcze, możemy mówić teraz o czem innem.

Zostaję więc i długo rozmawialiśmy jeszcze... o literaturze, o naszem gimnazjum 358, którego uczniami są dwaj synowie Rostworowskiego, o piękności widoku na Salwatorze i wielu innych rzeczach. Ciemno już było, gdy schodziłem z Gontyny ku żółtym światłom Krakowa.

Michałowski 358.

Idealne święta.

No, nareszcie zaczęły się ferje. Wielkanoc, Wielkanoc! Ale przedewszystkiem „wolne", koleżanki i koledzy! Wiecie, jaką magiczną, niesłychaną moc posiada to jedno słowo: wolne! Do dyspozycji pozostają nam wycieczki, niekończące się spacery po Deptaku lub w najgorszym razie po C—D, czytanie jakichś ciekawych książek, naturalnie randki nie mogą na tem ucierpieć i t. d., a wrazie czego w wolnych od zajęć chwilach, można tak mimochodem z łaski pomyśleć o czem innem, o jakichś drobnostkach, sprawach pobocznych, jak np. o nauce .

Inny nieco pogląd na te sprawy mają nasi pp. profesorowie, ale to już jest taka „deformation professionelle".

Poco naprzykład mamy wciąż kuć grekę? Już spać nie mogę, myśląc o 52 wierszach z Iljady, zadanych na pamięć. Wciąż myślę o grece, gryzę się... Aż widać, jak mizernieję. N. b. mamy to już zadane od dwóch miesięcy, ale zawsze wszystko odkłada się na „po świętach".

Ledwie na chwilę przestałem myśleć o grece, a natychmiast we własnej postaci zjawiła się przedemną ponura Powtórka historji, a za nią jej łacińska siostrzyca i długi korowód widm i masek. Wyrzuciłem je za drzwi i poszedłem na Deptak. Przecież raz trzeba odpocząć i znaleźć chwilę wytchnienia.

Pogoda jest śliczna. Ale za pół godziny zaczyna lać. Wracam do domu i naturalnie akurat jest wielkie sprzątanie. Żaden mebel nie stoi na swojem miejscu, wszystkie moje rzeczy są pomieszane, a co najpotrzebniejsze, to schowane pod spodem. Nie można niczego szukać, bo ci coś spadnie na głowę. Np. „z pośpiechu" pozostawione przez służącą w najniewłaściwszem miejscu jajka. Najlepiej by było gdzieś się podziać. Ale gdzie? Deszcz leje jak z cebra. Mam wrażenie, że w domu jestem jednym z takich niepotrzebnych mebli, który przestawia się wciąż z kąta w kąt i w żaden sposób nie można znaleźć dla niego miejsca. I w końcu albo wynosi się go na strych, albo go się niepotrzebnie pozostawia ku zmartwieniu wszystkich domowników. — Ruszam się. Tłukę na szczęście już rano pękniętą szybę obrazu. Zupełnie grzecznie radzą mi, żebym jeszcze raz poszedł się przejść. Trzeba nie mieć serca. Uspokajam się, bo dają mi na bilet do kina. Na nieszczęście rano nie grają żadnego programu. Jednakowoż z nikim nie dzielę się tem spostrzeżeniem. Pecunia non olet. (Pieniądz nie śmierdzi, zato, to przysłowie cuchnie łaciną i mojem klasycznem wykształceniem).

Skoro wyszedłem z domu, zaczęło się wtedy przecierać. Nie jestem pewny, czy to nie stało w pewnym związku przyczynowym.

Spacer się naturalnie nie udał. Oprócz tych, których tak, jak mnie wyrzucono z domu, nikogo nie spotkałem. A było ślicznie. Pachniało wiosną i nogi grzęzły we wiosennem błocie. Okna wszędzie były otwarte, co chwilę ktoś się z nich wychylał i gdy nie zauważył okrągłego policyjnego rondelka, trzepał ściereczkę do kurzu. Na Rynku rozwieszone po kramach szynki, kiełbasy i polędwice, poustawiane wszędzie uśmiechnięte, szablonowe baranki z zatkniętą koło tego allelujową chorągiewką i z różową kokardą, jednem słowem wszędzie Wielkanoc.

Wracam do domu w okropnym humorze i zasiadam przy biurku. Z kuchni dochodzi do mnie jakiś głos. Za chwilę zjawia się matka. „Wołałam na ciebie, a ty wogóle nie raczysz się odezwać. Słuchaj, czy nie mógłbyś mi tak na pół godziny pomóc w kuchni?". „Nie, widzi mamusia, że się teraz uczę?" — odrzekłem z godnością, zręcznie zasłaniając książkę do czytania gramatyką grecką.

„Ty zawsze wtedy się musisz uczyć, kiedy mnie jesteś potrzebny. Dziwne, że na wywiadówkach nikt cię nie chwali, tylko wszyscy ganią!".

Odwróciłem się, ale nikogo już w pokoju nie zobaczyłem. Zato usłyszałem hałas gwałtownie przesuwanych talerzy i brzęk, spadających rondli. Krzyk, kłótnia, awantura. Podczas tego, żaś przyjemny zapach, piekących się babek, zamienił się w ostrą woń spalenizny. Dzwonek. Gwałt, rwetes, zamieszanie. To moi dwaj braciszkowie Władek i Jędrek przyszli do domu.

Dziś jest Wielki Piątek, a więc jest także postny obiad. Szalenie lubię postne obiady. Piklingi, szproty, skumbrje, no i przedewszystkiem pieczone kartofle. Postny obiad... Wątpliwe umartwienie.

Władzio i Jędruś założyli się, kto zwiedzi więcej „Grobów Pańskich". Kościołów w Krakowie jest 40. Przez jakie półtora dnia braciszków w domu nie będzie. Ale zato będzie w domu względny spokój.

We Wielką Sobotę kazano mi malować pisanki. Nigdy czegoś takiego u nas nie było. Nie wiadomo poco dali mi tę przymusową robotę. Ponieważ jestem zwolennikiem futuryzmu, narysowałem fortepian, złamane serce, piętę Achillesa, podpisałem pod tem „Nadzieja". Na dwóch innych jajkach umieściłem parę karykatur i podpisałem modernistycznym drukiem „Alleluja". Więcej narysować nie zdążyłem, bo wszyscy powiedzieli mi, że to nie są pisanki, tylko świństwo.

Skorzystałem z wymówienia pracy i zwiałem z domu. Przedtem jednak kazano mi załatwić masę sprawunków. Zapisałem wszystko skrupulatnie na karteczce i... zostawiłem ją w domu. Zapomniałem kupić cykaty (zawsze mi się ona myli z cykutą), o maśle również na śmierć zapomniałem, a wielkanocnego baranka z cukru zostawiłem przez pomyłkę w sklepie. O odebraniu szynki z masarni, zapomniano mi przypomnieć, a teraz wszystko na mnie. Na dobitek Władzio poskarżył na mnie, że mu niegrzecznie odpowiadam, kiedy mnie o coś pyta (malec wiecznie mi w czemś przeszkadza), a Jędrek jeszcze nie wrócił z pielgrzymki po krakowskich kościołach. Wogóle w domu było teraz prawdziwe piekło.

Wieczorem cała rodzina w największej zgodzie poszła „in gremio" na rezurekcję. Było tam ładnie, wzniośle, poważnie, uroczyście i tak jakoś dziwnie swojsko. Jak żyję nie słyszałem, żeby organista tak fałszował.

Podczas świąt panował nastrój prawdziwie świąteczny. Wylegiwaliśmy się do 11-tej, a potem włóczyliśmy się z jednej wizyty na drugą. Naturalnie musiałem chodzić w starem ubraniu. Jeszcze wczoraj „ktoś" powiesił moje, nowe ubranie nad tortem czekoladowym. Wieszadło się urwało. Tragedja. Nastąpił t. zw. zrost gramatyczny. Na wizytach było b. świątecznie. Kilka obowiązkowych wizyt. Starsi panowie opowiadali pocieszne dykte-

ryjki, panie akompanjowały uroczym chichotem, ja napychałem się w miarę możności.

W drugi dzień „Śmigus" zupełnie się nie udał, gdyż wszyscy zaspaliśmy, co i tak sharmonizowało się z zepsuciem wodociągu. Wieczorem wyłamałem sobie kawałek zęba.

Nazajutrz, cały ranek siedziałem u dentysty. Popołudniu na gwałt kuję. Nie da rady. Będę miał jutro boleści żołądka i nie pójdę do szkoły.

W domu mi mówią, że nie trzeba się było tak objadać. Przecież to były święta.

M. Stagon 358.

Bezczynność w słońcu wiosennem.

Artykuł dyskusyjny.

Jest wiosna.

W dusze wstępuje jakiś radosny powiew, jakieś wesołe przeczucie czegoś nowego, czegoś, co powinno zmienić dotychczasową, nudną szarzyznę życia.

Wśród wiośnianych blasków słonecznych, uczucia nasze zdają się łączyć w jeden akord tęsknoty za czemś wielkiem, nieznanem, co więcej, w młodzieńcze serca, wstępuje głęboka ufność i poczucie siły własnej, która wszystko przełamie.

Wiosna — to święto młodości!

Na ustach wykwita uśmiech zadowolenia.

Zewsząd dochodzi do uszu beztroski gwar, rozmów. Wsłuchałem się. I zwolna zacząłem odróżniać tony złe od dobrych, zacząłem zwolna uprzytomniać sobie położenie, sytuację i dochodzić do wniosków. Było to w parku. Ponieważ gimnazjum nasze miało wolny czas, poświęcony rekolekcjom, wobec tego nie mając nic innego do roboty, udałem się tam, aby zażyć pogody i słońca. W ten sposób znalazłem się w raju słodkiego próżniactwa, w centrum, w którem ogniskuje się całe życie pozaszkolne — w Parku Jordana.

Gdzie okiem rzucić, wszędzie pełno na ławkach niedbale rozwalonych uczniów, wygrzewających się leniwie do słońca, myślących o czem Bóg wie, bezczynnych, trawiących czas na niczem.

Rzeczywiście było tam wtedy wyjątkowo dużo młodzieży. Przeróżne typy. Naprzykład jeden, już nie pamiętam z jakiej szkoły, nie był jeszcze ani na jednej godzinie nauki od półrocza! Albo jeszcze inny, chodzi przez trzy dni do szkoły, a przez trzy dni za szkołę. Nie sposób mi tu wyliczać wszystkich, ani nie mojem zadaniem jest ich tutaj potępiać — ale cała ta galerja typów przeróżnych wstrząsnęła mną do głębi. Byli tam przecież i chłopcy zdolni, moi koledzy z innych gimnazjów, za których mogę ręczyć, że gdyby było coś w tej szkole, coby ich pociągało, byliby najlepszymi uczniami w klasie. Byli i tacy, którzy mimo chodzenia za szkołę, potrafią w zupełności wywiązywać się ze swoich zadań, a czas za szkołą, uważają za coś przyjemnego. A obok nich typy mierne, cielęce i głupie. I właśnie gdyby ci ostatni przeważali, machnąłbym ręką, zostawiając ich sprawiedliwości profesorskiej, która ich prędzej czy później dosięgnie, ale fakt, że byli to przeważnie chłopcy **zniechęceni do nudnej, bezbarwnej pracy na ławie szkolnej.**

Dotychczas mówili i pisali o nas starsi, profesorowie i inni, którzy, mówiąc nawiasem, dawno zapomnieli, co to znaczy być młodym i dzisiaj jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że możemy choć w skromnej mierze coś nie coś o sobie powiedzieć sami.

Miałem wtedy w parku najoczywistszy dowód, że młodzież nie lubi szkoły.

Albo raczej lubi szkołę, o tyle, że po każdej godzinie następuje pauza, na której można pogawędzić o tem i o owem z kolegami, użalić się na profesorów, a potem siąść znowu w ławie i czekać, aż po piątej godzinie „mozołów" dzwonek oznajmi rozejście się do domów. Zdolni uczniowie przeważnie naukę lekceważą.

Popatrzmy teraz jak ta „nauka" wygląda. Likwidowane dzisiaj całkowicie przedmioty klasyczne, jak greka, lub z dominujących stanowisk, jak łacina, nie spełniają naogół swych zadań, t. zn. nie są tym niezastąpionym czynnikiem wychowawczym, jak domaga się prof. Zieliński w swej arcyciekawej broszurze „Starożytność antyczna, a wykształcenie klasyczne", którą to broszurę bardzo polecam kolegom do przeczytania, ze względu na aktualność poruszonych tam zagadnień. Przedewszystkiem obrzydliwe różne „bryki" toczą zupełnie organizm tych, tak pięknych i tak kształcących przedmiotów. Dotychczas naprawdę znam tylko coś dwuch kolegów, którzy nie używają tych zakazanych „owoców nauki". A biorąc tak na rozum, czy jest sztuką wogóle i czy to ma sens „przetłumaczyć" jakiś ustęp z „Iljady", czy „Kritona" po uprzedniem przeczytaniu go z przekładu, a nieraz po wkuciu go na pamięć.

Czasem pp. profesorowie, radzą sobie na poziomie klas wyższych, mówiąc, że są do tego zmuszeni małem przygotowaniem wstępnem uczniów, w ten sposób, że całą uwagę zwracają na wyuczenie suchych reguł gramatycznych. Takiemu uczniowi po kilku latach nic w głowie nie zostanie, prócz wspomnienia o tych upiornych czasach, kiedyto musiał w pocie czoła przetrawiać „Fiderera", czy „Ćwiklińskiego". A gdzie przytem podziało się to piękno, ten czar literatury starożytnej, którego tak szuka niejeden z nas w grece i łacinie? Przecież to każdy powie, że tak pojęte nauczanie wymienionych przedmiotów nie spełnia swych zadań wychowawczych. A inne przedmioty?

Weźmy naprzykład taką matematykę. Jest ona obecnie tak wykładana (nie zawsze, są wyjątki) ,że albo jej nikt nie rozumie, albo tylko mała garstka. Teraz o ile uczeń chce dostać „dostatecznie" (czy może być coś bardziej wulgarnego, jak forma „dostatecznie") i nie chce płacić 110 złotych na „półrocze", musi brać do pomocy korepetytora, by potem popisać się czyjąś wiedzą i świadczyć, że jednak duży jest procent takich, którzy „orjentują się w naukach ścisłych". A jeśli znajdzie się czasem jakiś biedny na umyśle i pod względem materjalnym, nie mogący sobie pozwolić na podobny luksus, a z drugiej strony mogący co najwyżej wkuć na pamięć mechanicznie regułki i wzory, nad takim lituje się czasem dobre serce profesora. Taki dostaje „dostatecznie" i jakoś idzie dalej. Nie sposób mi tu wiernie scharakteryzować wszystko i wszystkie pzedmioty — jasnem jest tylko, że młodzież zdolniejsza, umiejąca trzeźwiej trochę patrzeć na istotę rzeczy — doznaje wobec takiego stanu nauki uczuć znudzenia i zupełnie nawet słu-

sznie, pewnego rodzaju obrzydzenia i odrazy do książki. Nie koniec na tem. Chłopcy zdolni oddziaływują w różnym stopniu na otoczenie. Mniej uzdolnieni widząc to, wzorują się na nich, popadają w „dwóje", robią się kwasy i narzekania w stronę profesorów i t. d. Bezwątpienia my, chodzący dzisiaj do 3 klas najwyższych gimnazjum starego typu, jesteśmy ostatnimi Mohikanami dawnej szkoły klasycznej. Nowa szkoła, zreformowana, odpowiadająca podobno w zupełności zainteresowaniom młodzieży, ma dopiero pokazać wysokie wartości fizyczne i duchowe swych wychowanków.

Nie jest moją rzeczą zastanawiać się nad tem, czy ta nowa szkoła wykaże dodatnie, czy ujemne wyniki w życiu praktycznem, uważam jednak, że byłoby to nawet do pewnego stopnia szlachetnem, gdybyśmy my, młodzież z gimnazjum klasycznego, z tego przeżytku przedwojennnego, z honorem opuścili po maturze te mury nielubianej przez nas uczelni.

Znam kilku, bardzo zresztą światłych profesorów, którzy szczerze ubolewają nad nami, mówiąc, że dawniej, za ich czasów było lepiej, inaczej traktowało się książkę. Jeden nawet z tych profesorów opowiadał mi, że jadąc z jakimś jegomościem w pociągu, miał sposobność przekonać się, jak to się dawniej uczono. Oto pan ten, przez całą drogę deklamował mu ślicznie na pamięć Horacego. A dzisiaj — mówił stary profesor —, któryby uczeń potrafił coś podobnego pokazać? A potem, na potwierdzenie wyższego, dawniej poziomu nauki, przytoczył mi mnóstwo argumentów, znanych zresztą wszystkim dokładnie, któremi to lubi tak chętnie posługiwać się to „stare pokolenie", a które, muszę przyznać, zawierały wiele w sobie słuszności. Z całej tej dyskusji wyniosłem jedno wielkie wrażenie: oto przeszłe pokolenia ożywiała wielka, legendarna idea oswobodzenia Ojczyzny. Rzeczywiście tamto pokolenie wywiązało się całkowicie ze swoich zadań: wiedzą opanowało, a w życiu dokonało tego, że dało nam ją taką, jaką ją mamy dzisiaj — potężną i wielką. Bo wszak idea to bodaj najważniejszy bodziec do czynów. Kto nie ma idei jasno wytkniętej w swem życiu — ten nie żyje życiem człowieka ale życiem robaka, niskiej, przyziemnej istoty.

Wśród miłych, wiośnianych powiewów ciepłego wiatru, pomyślałem wtedy w Parku: my jesteśmy już przeżytkami w takim oto rozkładzie (fragmenty z ławek) po nas idzie już młodzież z nowym programem nauki. Ale jeśli ich nie będzie wiodła w przyszłość skrystalizowana idea — nie spełni ta szkoła nic wobec takiego ucznia. Powtórzy się ta sama historja, co z nami, będzie ta nauka dla nich bezbarwną, nudną piłą konieczności. I znów będzie się szukało nowych reform, znów będzie się winiło z jednej strony uczniów, a z drugiej profesorów, aż do znudzenia. Patrząc wtedy na tę bezczynność, wygrzewającą się w blaskach wiosennego słońca, szukałem odpowiedzi. Jaką ideę rzucić w ten bezczynny tłum młodzieży? Odpowiedź prosta, o której każdy wie, że teraz, skoro mamy już wolną i niepodległą Polskę, musimy dążyć do jej mocarstwowości. Ale jak? I tutaj zwracam się do was przedewszystkiem koledzy z dawnego typu gimnazjum klasycznego, odpowiedźcie, w jaki sposób chcecie realizować już w szkole ideę swego pokolenia, podczas pracy nad zdobywaniem wiedzy, aby znikło zniechęcenie, wypowiedzcie się, jakie okoliczności utrudniały wam spełnianie obowiązków, i jak chcecie, żeby rzecz wyglądała w najbliższej przyszłości?

Niech sprawi to Wiosna, święto młodości, święto radosnych porywów — niech sprawi to cud budzącej się do nowego życia natury.

K-ski. 357.

Powrót z pod Troi.

Upłynęły dwie minuty od ostatniego dzwonka na godzinę, gdy profesor Grabski wyszedł ze sali konferencyjnej. Udawał się właśnie do szóstej klasy na grekę.

Na korytarzu było pusto, tylko na schodach przebiegł koło niego chłopiec szurnąwszy pospiesznie nogami. Chciał go zapytać, dokąd idzie po dzwonku. Przystanął. Lecz chłopak był już daleko i nie wartało wołać. Znowu więc stare nogi grecysty rozpoczęły codzienny pochód w górę. Mimo, że spokoju nic nie zakłócało, zdało mu się nagle, że ktoś go zza zakrętu obserwuje, więc rzucił wzrokiem przed siebie. Nie było już nikogo, tylko słychać było zciszony tupot nóg uciekającego. Ruszył ramionami. Korytarz napowrót zaległa cisza, ledwie, że przerywana zmęczonemi krokami starego profesora.

— — — — — — — —

— Trzeba będzie nowe okulary sprawić — myślał pedagog, usiłując po raz setny odczyścić okulary, jak mu się wydawało, zamglone. Postanowieniem tem odpychał drażniącą myśl, że złemu widzeniu nie okulary winne, ale oczy. Przykro mu było nie mieć nadziei, że będzie mógł kiedyś tak dobrze widzieć, jak widział jeszcze dwa lata temu.

Czyszcząc szkła, słuchał dobrze znanego na pamięć tekstu Iljady. Każde słowo czytającego ucznia — wyjątkowo dobrze czytał — wpadało mu do mózgu na swe miejsce.

— Dobrze, siadaj — mruknął do chłopca, robiąc w notesie drobny znak. — Zajączek, tłumacz tekst!

Zajączek wstał i, wspomagany przez kolegów, zaczął mówić o tem, jak to Achillesowi odebrał Agamemnon Bryzeidę, a ona „szła niechętnie" z posłańcami Atrydy. Tłumaczył źle, nieinteligentnie, słowo w słowo z bryka. Z trudem powiedział, jak Achilles usiadł nad morzem i płakał, „zdala od przyjaciół". — Profesor słuchał z przykrością. Ilekroć przerabiał to miejsce, ogarniało go dziwne wzruszenie, niczem logicznie nie wytłumaczone. Chciał, by i uczniowie coś z tego odczuli, co on czuł.

— Bo widzicie, Homer tu — powiedział cicho — i urwał. Jakże on powie swoje uczucia? Conajwyżej zobaczy, że kilku kujonów zacznie notować jego słowa i na drugi dzień nauczy się ich, jak zadanej lekcji, lub, że kilku uśmiechnie się lekceważąco — pobłażliwie. Jakże powiedzieć im, że woli, by nie umieli przedmiotu, lecz żeby kochali to piękno zaklęte w dziwnych, greckich literach. On sam tak dobrze rozumiał uczucia postaci homerowych, tak współczuł z niemi. Wyobrażał sobie z całą żywością scenę zabrania młodemu bohaterowi jego branki. Widział, jak Achilles wraca z rady szybko,

zdenerwowanym krokiem. Serce jego jest pełne gniewu, upokorzenia, miłości własnej i troski o Bryzeidę. Pewnie kochał ją, własną brankę, uczuciem tkliwem, a silnem, choć nieświadomem. Instynktownie czuł, że życie bez niej będzie przykre i puste dla niego, że będzie mu brakować kogoś bliskiego, co o nim myśli i tęskni do niego, gdy wyruszy w bój.

Ale mimo wszystko Achilles oddał ją. Oddał, bo musiał ustąpić przemocy i bał się przyznać, że on, zwycięzca uległ słabej kobiecie. Gdy odchodziła, nie patrzył za nią. Tylko, po chwili, udał się na brzeg niespokojnego, rozchwianego morza, a wpatrując się w nieskończoność fal poczuł, że oczy zamgliły mu się i po policzkach spłynęło coś wilgotnego.

Chciał profesor opowiedzieć to i jeszcze więcej, słowami prostemi, a jednak tak pięknemi, żeby musiały pobudzić uczucia wszystkich. Chciał powiedzieć piękniej, niż jemu samemu myśl dyktowała, piękniej, niż głos zużyty umiał wypowiadać.

— Widzicie, Homer — powtórzył. I nagle poczuł taki brak myśli i taką słabość własnych słów, że zamilkł.

Klasa siedziała cicho, czekając na odezwanie się profesora. Trzeba było coś powiedzieć.

— Cóż tu pięknego widzisz?

Uczeń wskazany palcem wstał szybko. Nie wiedział, o co idzie, bo właśnie przeglądał zeszyt kolegi.

— Eee — tu możemy widzieć — — — więc — — tu widać wiele piękności — — hm, chrząknął, — onomatopeiczne — —

Profesor Grabski stuknął ołówkiem w katedrę.

— Mów do rzeczy! upomniał ostro. A potem zdjął okulary i zaczął po raz setny je przecierać chustką, bo zdawało mu się, że szkła znowu zmatowiały.

Wrócił z pod Troi do szóstej klasy.

Z. Estreicher 356.

List.

(Ciąg dalszy).

V.

...Szedł prędko... z ciekawością myśląc o spotkaniu na ulicy Kościelnej... mgła opadała coraz bardziej... ...nie było można o parę kroków nic zobaczyć... „Fatalnie"...

...Wysoki mężczyzna, ubrany w czarną kurtkę, jaskrawy szal i czapkę barankową trącił mimochodem Jura... twarz wydawała mu się znajomą... gdzieś widzianą — ależ... tak, to Wasyl...

Już miał podążyć za nim, gdy druga postać ukazała się na chodniku i zarysowywała się coraz mocniej rzedniejącej zwolna mgle; był to chłopak o zawiązanej, obandażowanej głowie ...lewa ręka spoczywała w temblaku — spieszyło mu się widocznie, bo biegł prawie, kulejąc trochę... zauważył Jura... skinął mu ręką, by podszedł...

„Panyczu — wyście są Jur Lemita?

„Tak, a co?

„Ja... mam list od pana...

Jur chwycił go gorączkowo za rękę...

„List?!

„Ot tak od pana Bolesława, ale niech no panycz idą za mną... to opowiem".

U wylotu Kościelnej zatrzymał się chłopiec — ...to tu... mieszka...

„Tu! tu przecież mieszka Wasyl Iwanycz!

„To wy panyczu wiecie, że...

Dwoje ludzi weszło do starego, walącego się i popodpieranego belami domu... oboje nieśli na plecach worki z jakimś znacznym ciężarem...

VI.

Jur z nieznajomym siedli na zwalonym cokole zaczętego budynku... Wokół rozciągało się kwadratami kolorowemi pole ...puste, bezdrzewne...

„Ojciec mój był komisarzem... kierownikiem więzienia w K., więźniowie lubieli go, bo taka bestja ludzka była i dobry był... że...

...raz przyprowadzili mężczyznę siwego całkiem, choć wyglądał na lat może.., trzydzieści... ja mu przynosiłem jedzenie, lubieliśmy tego „pana Bolesia". Nagle ktoś na ojca doniósł, że z więźniami się zadaje, że z burżujami przebywa... przybyli dwaj... z G. P. U., ojca... i matkę rozstrzelali, mnie zamknięto w tem samem więzieniu, przypadkiem byliśmy razem z „panem Bolesiem".

Dał mi on kilka listów i błagał, że, jeżelibym wcześniej od niego wyszedł z więzienia, bym wysłał je.

Tak się też stało... Tylko, że... poprzysiągłem zemstę temu... komisarzowi... rok deptałem mu po piętach... teraz dziwnym trafem znalazłem go i panycza... panycz ma list... a ja mojego komisarza... Wasyl Iwanycz zamordował mego ojca i mą matkę..."

Długo rozmawiali dwaj chłopcy... w południe przybiegł Staszek... w paru słowach opowiedział chłopcom najnowszą nowinę... Wasyl Iwanycz — wyjechał do Rosji...

Policja odkryła skład broni w jego domu...

VII.

Jur wyjechał do Krakowa... tego roku miał zdawać maturę, musiał uczyć się, ale o dziwnym liście zapomnieć nie mógł — rok szkolny minął szybko, maturę zdał... na ostatnie swe wakacje przed studjami uniwersyteckiemi pojechał tam, gdzie poprzednio — do pana Walerego...

VIII.

Deszcz lał strumieniami i zmoczył Jura zupełnie...: ubranie nasiąknięte wodą zdawało się ciężkie jak z ołowiu...

Jur wracał z wycieczki i spieszył się, by zdążyć przed nocą do domu... Przechodził koło Kościelnej... w oknie niezamieszkanego domu paliło się światło...

Zaciekawiony — pchnął drzwi, które zazgrzytały w zawiasach.

„Panycz!"

Hryć!

...Co? Kto to?...

Na posłaniu z burki podróżnej leżał :::człowiek zakryty był derką...

Kto to?

Hryć uśmiechał się obiecująco... położył palec na ustach... Niech panycz będzie cicho...

Ot kto?...

Podeszli do posłania... Hryć ujął derkę i odchylił ją... na burce spał... tak spał spokojnie... bezpiecznie... ojciec. (C. d. n.)

——o§o——

PRACA SPOŁECZNA.

Do apelu!!

Na dalekich lądach Ameryki, w wielu krajach Europy, a nawet na odległym Wschodzie pędzą wygnańczy żywot nasi bracia — Polacy. Siedem miljonów serc polskich bije na obczyźnie. Bije z gorącą miłością, czcią i szacunkiem dla tej Matki, która, po przeszło stuletniej niewoli, zrzuciła hańbiące pęta i powstała piękna i odrodzona, by stanąć niebawem wśród pierwszych potęg Europy. Sława Jej imienia dociera do najdalszych zakątków ziemi i napawa dusze naszych emigrantów prawdziwą radością i dumą.

Nie wystarcza jednak, aby tego polskiego ducha, tę polskość krzewiło w ich sercach samo imię ojczyzny; do tego p. trzeba Polaków, rąk polskiej, ofiarnej młodzieży.

Na ileż niebezpieczeństw, na ile zakusów ze strony obcych mocarstw wystawiona jest dusza naszego rówieśnika zagranicą?! Jakże łatwo może to nowe pokolenie, wychowywane i kształcone wśród obcych, zapomnieć o ojczyźnie, wyzbyć się mowy ojczystej i wkrótce potem zupełnie wyrzec się ziemi, za którą tyle krwi przelali niegdyś ich ojcowie!

Powinniśmy temu zapobiec, postawić sobie za jeden z punktów wytycznych naszej przyszłej pracy, hasło krzewienia ducha polskiego, wśród polskiej młodzieży zagranicą.

Praca na tym odcinku, to praca nietrudna, przyjemna, a dająca często nadspodziewane wyniki.

Przedewszystkiem starajmy się, aby polskie dziecko na obczyźnie uczyło się i kształciło po polsku; dajmy mu więc polskie podręczniki i książki, o które tak trudno zagranicą. Powinno nam być wstyd Polakom, że syn polskiego emigranta dostaje do ręki za darmo nowy podręcznik w języku obcym, że mu proponują bezpłatną naukę w obcej szkole. Jak może w takim wypadku młode pokolenienie zapomnieć o Polsce, która o niem zapomniała?

A przecież o stare podręczniki i książki u nas tak łatwo! Czy nie lepiej zrobimy, gdy zamiast po skończonym roku szkolnym sprzedawać je, za marne pieniądze, zaofiarujemy ten drobny dar tym, którzy tej polskiej książki tak łakną, którym ona przyniesie prawdziwą radość i pożytek?!

Inny sposób niesienia polskości naszej zagranicznej młodzieży, to stała z nią korespondencja.

Na polską gazetę często nie stać syna polskiego robotnika, trzeba więc w jakiś sposób uwiadomić go o tem, co się dzieje w kraju, jak żyje w nim polska młodzież i z jaką ochotą i zapałem pracuje nad dalszą jego odbudową. — Ten rodzaj niesienia polskości naszym rodakom na obczyźnie, napewno nie będzie dla nas żadnym ciężarem. Owszem, przyniesie nam samym wiele przyjemności i zadowolenia w poczuciu szlachetnego zadania, jakie spełnimy dla dobra emigracji i odrodzonej Polski.

Przekona się młody Polak we Francji, czy w Niemczech, że polska młodzież, przebywająca w kraju, nie zapomniała o nim zupełnie, że daje mu możność kształcenia się w duchu polskim, że nie pozwoli mu zginąć wśród obcych. — A serce jego zabije mocniej i zapłonie żywiej gorącą miłością ku tej opuszczonej, zapomnianej, a może nigdy nawet nie widzianej... ojczyźnie — Polsce.

T. Dęborski.
358.

Sprawozdanie Samorządu gimn. 358.

Samorząd zaczął swą działalność w połowie września ub. r., zwołując zebranie wszystkich wójtów i prezesów kół. Na zebraniu tem odbywały się wybory nowych władz Samorządu. Prezesem przez aklamację został wybrany kol. Krzyżowski (VIII b.), viceprezesem kol. Jurkiewicz (VII a), sekretarzami kol. Cieszyński (VIII b) i kol. Pietrzykowski (VI b), skarbnikiem kol. Czubak (VIII a). Ustalono plan pracy na rok bieżący i projekty na Walne Zebranie. Na Walnem Zebraniu uchwalono nowy statut w miejsce starego, nieodpowiadającego ogólnym wymogom, ustalono skład Rady Samorządu i przyjęto kilka projektów. Rada Samorządu odbyła szereg zebrań, na których załatwiano sprawy bieżące. W październiku ustąpił ze stanowiska prezesa kol. Krzyżowski, na jego miejsce wybrano kol. Jurkiewicza, a wiceprezesem został kol. Patoń (VIIa).

Dnia 6. października Samorząd urządził w Gimnazjum podniosłą uroczystość z okazji dwustupięćdziesięcioletniej rocznicy zwycięstwa Jana III pod Wiedniem i pięćdziesięciolecia istnienia Gimnazjum. W obecnośc JWP. Kuratora Godeckiego, Naczelników P. P. Brydy i Podkówki, P. Wizytatora Biedowicza, wobec licznie zgromadzonych Rodziców i uczniów, odsłonięto dwie tablice pamiątkowe. Jedną ku uczczeniu bohaterskiego króla — zwycięscy, z następującym napisem:

Laetissimae memoriae
Joannis III. Poloniae regis clarissimi
ducentis quinquaginta annis post victoriam apud
Vindobonam honorifice peractis.
1683. 1933.

...A drugą ku uczczeniu bohaterskiego Wodza, Twórcy Państwa Polskiego.

Ad venerandam laudem
Primi resurgentis Poloniae Mareschali
Josephi Piłsudski
liberatae patriae auctoris et parentis
decem lustra ab hoc gymnasio condito confecta
Sollemniter celebrantes.
1883 1933.

Po odsłonięciu tablic wszyscy udali się do pięknie przystrojonej auli, gdzie odbyła się podniosła akademja. Podczas akademji prezes Koła Rodzicielskiego, p. Fischer wręczył piękny puhar wędrowny delegatowi gimn. IX., jako zwycięscy w zawodach strzeleckich, urządzonych przez nasze gimnazjum.

W październiku Samorząd zorganizował zbiórkę na „Pożyczkę Narodową". Zbiórką, która wyniosła 850 zł., sprawnie kieruje skarbnik Sam. kol. Czubak. Do tej chwili spłacono już cztery raty Pożyczki, tak iż do spłacenia została jeszcze jedna rata. W tym samym miesiącu Sam. otworzył antykwarnię uczniowską pod kierownictwem kol. Ho-

tuja (VI b.). Rada Samorządu utworzyła komisje porządkowe, mające za zadanie kontrolę nad czystością w poszczególnych klasach. Komisje te wywiązały się bardzo dobrze ze swego zadania. W listopadzie Samorząd zorganizował międzyszkolną organizację samorządową, która dnia 10. listopada urządziła wspaniały pochód na Wawel, dla złożenia hołdu Marsz. J. Piłsudskiemu w wigilję rocznicy odzyskania niepodległości. Tam z krużganku zamku królewskiego przemówił do licznie zgromadzonej młodzieży reprezentant Samorządów gimnazjalnych.

11. listopada, Samorząd w porozumieniu z innemi gimnazjami urządził w „Złotej Sali" „Domu Katolickiego" akademję niepodległościową. Na program złożyły się produkcje muzyczno - wokalne, wykonane przez uczniów wszystkich gimnazjów.

W listopadzie Samorząd zaczął wydawać „Gazetkę". z początku jako organ tylko Gimn. 358, a z biegiem czasu zasięg jej rozszerzył się i na inne zakłady. Naczelnym redaktorem „Gazetki" jest kol. Jurkiewicz, opiekunem p. prof. T. Szantroch. Gazetka wzbudziła szerokie zainteresowanie.

Za staraniem Opiekuna Sam. prof. Krajewskiego oddano dyżury na korytarzach uczniom klas wyższych pod opieką wychowawców. Przez dyżury te rozwija się poczucie obowiązku i karności tak u dyżurujących, jak i u zwykłych uczniów. Bijatyki i awantury, szczególnie w niższych klasach, coraz bardziej zanikają i to nie pod srogiemi spojrzeniami profesorów, ale wobec powagi starszych kolegów.

1. lutego br. w dniu Imienin Włodarza Polski, Ignacego Mościckiego Samorząd urządził uroczystą akademję w auli gimnazjalnej.

Dnia 19. marca w dniu Imienin Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego po uroczystem nabożeństwie w kaplicy gimnazjalnej, uczniowie udali się do swoich klas i tam każdy oddział urządził osobno, własnemi siłami, miłą akademję.

W porozumieniu z dyrekcjami kin krakowskich zdołaliśmy uzyskać szereg zniżek prawie we wszystkich kinoteatrach na dozwolone programy. W ten sposób młodzież ma możność częstszego uczęszczania do kin.

Opiekę nad Samorządem sprawuje p. prof. Dr. J. Krajewski, otaczając naa wszystkich swą naprawdę ojcowską życzliwością.

Maciek Patoń (358 gimn.)

Uroczystość 19. III. w gimn. 444.

Dnia 19. marca br. urządzono w tut. gimn. uroczysty poranek z okazji Imienin Wodza Narodu. Zorganizowaniem impezy zajęła się Dyrekcja oraz prezes Samorządu kol. J. Haraschin. Na program złożyły się przemówienia, deklamacje i część muzyczno - wokalna. Uroczystość zakończył p. pułk. Romański, przemówieniem i wzniesieniem okrzyku na cześć J. Piłsudskiego.

OD REDAKCJI.

Następny Nr. Gazetki poświęcony będzie w znacznej części sportowi. Prosimy o rychłe nadsyłanie czytelnych sprawozdań z życia tej dziedziny.

Administracja Gazetki zawiadamia kolegów kolportujących nasze pismo, że ze względów finansowych musi przestrzegać wyrównywania rachunków z kolportażu w ciągu **jednego tygodnia**, od ukazania się każdego Nru Gazetki.

Zwracamy uwagę naszym Czytelniczkom i Czytelnikom, że firmy reklamujące się w „Gazetce", po większej części **udzielają znacznego rabatu, powołującym się na wyżej wspomniane ogłoszenia.**

LITERATURA.

„Przylądek Dobrej Nadziei" Z. Nowakowskiego jako powieść o dziecku.

Możnaby się poniekąd słusznie wyrazić, że literatura w początkach swego rozwoju widziała tylko rzeczy wielkie, sprawy niezwykłe, czyny bohaterskie. a dopiero powoli, powoli, nauczyła się zwracać uwagę na drobniejsze, choć może niemniej ciekawe szczegóły. Dlatego też dziecko, przedmiot, jak się wydawało mały, dość długo przeoczano w powieści. A kiedy wreszcie zwrócono nań uwagę, to najpierw rozpatrywano młodzież, zwolna dopiero cofając się ku coraz to młodszym latom. Naprawdę zajęła się u nas postacią dziecka niżej lat 10. dopiero literatura najnowsza, powojenna, a więc Bandrowski w „Mieście mojej matki", Zegadłowicz w tomie I. „Żywota Mikołaja Srebrem pisanego", a wreszcie Zyg. Nowakowski w „Przylądku Dobrej Nadziei".

Ta niedawno wydana książka popularnego naszego feljetonisty jest, mojem zdaniem, jednym z najlepszych utworów w tej dziedzinie. Autor cofnął się w cz. I. w czasy dzieciństwa przedszkolnego, a cz. II. objęła pierwszy rok szkoły, a więc są to lata 6—7. Czas ten w literaturze naszej nie był dotychczas należycie opracowany, pociągało raczej barwne i ruchliwe życie szkolne z lat gimnazjalnych wraz z jego wzlotami, upadkami i całym rozległym i ciekawym obrazem, tworzącej się i budującej duszy. W porównaniu z tym bujnym i twórczym okresem, lata poprzednie wydać się muszą bezbarwne jeszcze i ciche. Ale dokładniejsze spojrzenie w głąb duszy dziecięcej już w tym czasie dotrzeć potrafi do zjawisk i procesów niezmiernie ciekawych, a temu tylko wiekowi właściwych. Tak uczy psychologja, ale wielkiego trzeba było talentu, aby tego rodzaju temat przetopić na dzieło prawdziwie artystyczną.

Książka Z. Nowakowskiego już w samej formie, w samej kompozycji i stylu jest oryginalna. Śmiały pomysł ujęcia jej w formę opowiadania, czy wspomnień dziecka, mógł niesłychanie łatwo zaprowadzić na kompletne bezdroża zawiłych dociekań psychologicznych, niemożliwych u dziecka w tym wieku, ale też,, konsekwentnie i ze świetnem wyczuciem artystycznem przeprowadzany, oddał wybornie egocentryczność dziecka, jego zdolność do przerywania zjawisk zewnętrznych raczej jako wrażeń własnych, które przebiegają w świadomości jak chwilowe zmarszczenie tafli wodnej pod powiewem wiatru, niż jako faktów pozapodmiotowych. Forma feljetonu, czy noweli, zapożyczona z poprzedniej twórczości pozwoliła na kompozycję swobodną i luźną. Uderza na pierwszy rzut oka doskonałe odczucie psychiki dziecięcej. Opowiadanie nie płynie uregulowanem korytem, jakieby mu nakreśliła logiczna kompozycja, lecz zbacza, przerzuca się z tematu na temat, faluje w takt nie-

sfornie, pędzących myśli dziecka, nie zatracając nigdy harmonji literackiego wyrazu.

Materjału do rozważań psychologicznych znajdziemy tam ogromnie wiele. Często jedno opowiadanie jest splątanym węzłem kilku naraz zagadnień, które artystycznie tworzą spoistą całość, ale które analistycznie dopiero wydzielić i scharakteryzować trzeba. Lata gimnazjalne znalazły już w literaturze największe opracowanie u Żeromskiego i Sienkiewicza, natomiast książki z lat dziecinnych, którąby się z niemi porównać mogła, dotychczas nie było. Piękny utwór Z. Nowakowskiego, który tę lukę zapełnił, porównania takiego, dla swych istotnie niepospolitych zalet jest godny i zestawienie z najlepszemi dziełami o dzieciach w literaturze polskiej śmiało wytrzymać może.

Marjan Plezia.
358.

STULECIE „PANA TADEUSZA"
uczci redakcja „Gazetki" osobnym artykułem w najbl. numerze.

FILM.

„Don Kiszot".

Niejednego napewno zastanowiło, znajdujące się na afiszu „Don Kiszota" nazwisko — Szaljapin. Jeden z najlepszych obecnie w Europie śpiewaków operowych. Nazwisko, zawierające w sobie dla każdego lubiącego muzykę perspektywę dwóch ile spędzonych godzin. Skuszona tą właśnie perspektywą znalazłam się w „Świcie".

Najpierw dodatki, tym razem całkiem dobre, wreszcie film.

Treść naogół dobrze znana, choć naturalnie odpowiednio przez Pabst'a zmieniona. Zdjęcia niektóre dobre (wioska hiszpańska), ale... i tu zaczyna się cały szereg „ale".

Więc najpierw sam Szaljapin. Śpiewak opery absolutnie nie nadaje się na aktora filmowego. Jego ruchy i mimika bezustannie drażnią widza, nie pozwalając mu dostrzec innych, może dodatnich stron filmu. Wspaniały głos także wychodzi tylko wtedy dobrze, gdy Don Kiszot nie znajduje się zbyt blisko aparatu, a takich chwil jest mało. Arje, czy pieśni i długie djalogi przerywają wciąż akcję, film staje się nudny. Plenery szare, bez wartości.

Te wszystkie jednak zarzuty dotyczą najczęściej nietylko „Don Kiszota" i nie przeszkadzają temu, że się wychodzi z kina, pod względnie dobrem wrażeniem, a przynajmniej w dobrym nastroju. Tymczasem po „Don Kiszocie" pozostaje wrażenie przykrości. Jest tak dlatego, że niektóre sceny są wprost wyśmiewaniem się, zaprzeczeniem najprostszych uczuć litości. Gdy np. Don Kiszot po ostatniej walce z wiatrakami, mocno poturbowany, zwyciężony wraca do swego domu w klatce, zbiera się tłum, śmiejąc się i szydząc z pokaleczonego, złamanego starca. Najserdeczniej zaś śmieje się z niego Dulcynea, dziewczyna, w której imieniu walczył, za której piękność stoczył niedawno pojedynek. To już nie wydrwienie błędnego rycerza, to kpiny z bezsilności słabszego, kpiny z uczuć widza. Czy tłum może być tak zupełnie pozbawiony uczuć ludzkości? Don Kiszot znajduje się wreszcie w domu i tu wita go stos płonących, najulubieńszych książek. Starzec umiera **Wu 365.**

„Silly Symphonies".

„Beztroskie Symfonje" — arcydzieło sztuki filmowej, są wynikiem twórczej inwencji karykaturysty Walta Disney'a.

Zaczęło się od myszki — Mickey Mause, która podbiła wszystkich widzów — wcisnęła się w nasze życie — niepostrzeżenie. Ucieszne ruchy Mickey'ki pcdobały się wszystkim — mało kto jednak zastanawiał się nad tem, ile pracy wchłaniał jeden taki film, ile konceptów, pomysłów i „gagów". Jest to jedyna dziedzina filmu, w której **musi się coś dziać,** musi być — „tempo". Mickey zapanowała nietylko w filmie, ale zajęła poczesne miejsce w dziennikach figurowała i figuruje na wyrobach galanteryjnych, wogóle stała się popularną.

To też dochody z rysowania seryj o Mickey'ce pozwoliły Waltowi Disney'owi na zbudowanie specjalnej wytwórni przy Hyperion Avenue w Holl, w której mieszczą się prócz biur handlowych Mickey Mous'a, pracownie muzyczne i rysunkowe. Powodzenie filmów rysunkowych Disney'a polega na coraz nowych pomysłach i artyźmie. To też po „Myszce" i serji z Betty Boop, wypuścił na rynki filmowe nową serję, przewyższającą wszystko dotychczas z tych rzeczy widziane, pięknem, estetycznem wykonaniem, kolorytem i barwnością, kapitalnemi gagami. „Beztroskie Symfonje", odtwarzają nam groteskowo nietylko życie zwierząt lecz i ludzi. Takie np. kolorowe groteski jak „Zaczarowany las", „Ptaki na wiosnę", „Arka Noego", są wykonane niezwykle atrakcyjnie.

Obecnie zaś W. Disney wyprodukował nową serję — „Three Little Pigs" — „trzy małe świnki", które cieszą się powodzeniem takim, jak popularne Silly Symphomes. A więc kto chce się uśmiać i ubawić, niech ogląda sobie disneyarskie — „Beztroskie Symfonje". **Ta-ho. 258.**

Wydawnictwo „Gazetki": Samorząd uczniów gimn. 358. — Współpraca samorządów: 356, 357, 358, 365, 444. — Redaktor nacz.: kol. Jurkiewicz. — Komitet redakcyjny: kol. Gąssowski, Kański (358) , Estreicher Z., Estreicher L. (356), Kruczkowski B., Lesner (357), W. Goetlówna, J. Kotówna (365) Ita Dąbrowska, Wydro (444). — Kurator. Gazetki p. prof. Tadeusz Szantroch (358).

Drukarnia Ludwika Gronowa i Ski w Krakowie. Stolarska 5

NAUKA.

Lotnictwo, jego rozwój i działanie.

(Dokończenie).

Wpływ obserwacji lotniczej doszedł do tego stopnia, że w roku 1915 czytamy w jednym z rozkazów: „Ilość grup artylerji ciężkiej, którą należy utworzyć na danym odcinku, równa się ilości płatowców, które mogą równocześnie współdziałać ze sobą". Z piechotą płatowiec taktycznie nie współdziała, ograniczając się jedynie do wspomnianej powyżej czynności, oraz przy osłabianiu własnej piechoty, ewentualnie przy natarciu. Wielkie zastosowanie posiada lotnictwo w wojnie morskiej. Używane są do tego celu płatowce, które możemy podzielić na dwa typy 1) t. zw. wodnopłatowce o dość dużym promieniu działania, ciężkie, czynne zazwyczaj przy brzegach, 2) samoloty lekkie, lądowe, jedno, lub dwuosobowe, działające z ruchomych lotnisk znajdujących się na okrętach. Oprócz tych, w ostatnich czasach prowadzone były próby z samolotem działającym z pokładu łodzi podwodnej, które jednak nie dawały zadawalniających wyników. Lotnik w tym wypadku współdziała z flotą, jak z artylerją na lądzie. Zapomocą radja koryguje ogień, sam pomagając czasem bombą. Podaje on w przybliżeniu kierunek i odległość odchylenia pocisków. Widzi on również doskonale łódź podwodną, zanurzoną nawet do 28 metrów. Samolot używany jest również do kontroli podejrzanych statków, oraz patrolowania wybrzeży.

Samolot oddaje tu także wielkie usługi, jako zwiadowca, ostrzegając flotę własną przed zbliżającemi się statkami nieprzyjaciela. Współdziałanie zatem lotnictwa z wojskami morskiemi daje świetne wyniki.

Lotnictwo morskie używa, podobnie jak lądowe, karabinów maszynowych z amunicją zwykłą smugową i zapalającą, bomb zwykłych i zapalających (12'5, 50, 100, 300 kg.) do bombardowania celów nadbrzeżnych jakoteż statków wojennych. Mamy też samoloty torpedowe, przystosowane specjalnie do t. zw. torped powietrznych, które przy niskim locie można opuścić do wody.

Samoloty wojskowe dzielimy na dwa typy: myśliwskie i linjowe. Różnią się od siebie wielkością i działaniem; myśliwskie są mniejsze i na pokładzie mają tylko dwu ludzi (obserwator i pilot) podczas kiedy linjowe posiadają jeszcze takie urządzenia jak radjostacja, aparaty fotograficzne i t. d. Uzbrojenie samolotów składa się z karabinu maszynowego (Hotschkiss, Vikers, Lewis) strzelającego przez śmigło lub z obrotnika (1200 strzałów na minutę oraz bomb (12'5, 20, 30 kg.) Oprócz tych używane są jeszcze bomby zapalające.

Taktyka wojny przyszłości będzie polegała na niszczeniu miast, okręgów gospodarczych, wpływów kolejowych i portów, oraz zabudowań wojskowych i składów amunicji. Pamiętajmy, że silne lotnictwo — to silna Polska!

J. Wydro 444.

—o§o—

HUMOR.

Poszukuję takiej maści, któraby przywróciła mi dawny zarost na głowie. „Łysy 358".

—o§o—

Kto znajdzie zgubiony węgierski tytuł hrabiowski, otrzyma nagrodę. „I. H. 358".

—o§o—

Poeta, komik i wynalazca „perpetuum mobile" szuka natchnienia i dawnego nazwiska.

„A. G-k. 358".

—o§o—

„Szydloilin", sztuczny nawóz na porost włosów. Cena menzurki, wraz z opakowaniem 2 gr. Główny skład „W ciemię bity" 444.

—o§o—

Ceruję parasole, wstawiam nowe druty, przyprawiam rączki, żegnam i całuję rączki Emanuel Scipio.

—o§o—

Kupie okazyjnie prasę hydrauliczną do prasowania fig. Zgłoszenia byle prędko „Gandhi z Zaporaża".

Piszę za pół darmo: mowy pogrzebowe, elegje, zgorzkniałe wiersze i epitaphia. Zgłoszenia w gimn. 444. pod „Śpiący Rycerz".

—o§o—

Ogłaszam, że Dama Moircyjenna de Schwarz jest najpiękniejszą dziewoją świata. Śmiałych niedowiarków wzywam na udeptaną ziemię, a nie boję się, bo mam protektora o szerokich barach, „Karol Barameusz z pod Srebrnej Gałęzi".

—o§o—

Po aferze Stawiskiego.

Będzie dziś na obiedzie kilka wysoko postawionych osobistości. Niech Walenty dobrze policzy łyżki.

CENA NUMERU: 10 GR.

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 50.— zł. — pół strony 25.— zł. — 1/5 strony 10.— zł. — 1/10 strony 5.— zł.

Za reklamę w tekście doliczamy 20% ceny — za tekst artykułowy 50% ceny.

Drobne ogłoszenia w cenie 5 gr. za słowo bez prawa wyboru miejsca.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Miłośnik Gazetki 358. — Za miły list dziękujemy. Postaramy się poprawić.

Kol. Goldfinger. 358. — Zamieszczamy wzmiankę w „Pracy społecznej".

Kol. Porębski. 358. — Za długie. Nie.

Kol. Kuczyński. 358. — Czeka na miejsce.

T. 361. — Wiosenne refleksje banalne. W „Zmierzchu" rytm nie zgadza się z nastrojem i treścią. Prosimy o lepsze.

Kol. Kuhl. 338. Radom. — Przy rozszerzonym zakresie kolportażu nie możemy umieszczać artykułów, interesujących niewielu.

Adolf H. 444. — Ani jedno, ani drugie.

Sodalis. 358. — Nowelki bez wyrazu, mdłe i nieopracowane. Czekamy.

Ell-jot. 361. — Błędy stylistyczne, gramatyczne i ortograficzne. Nie.

Kol. Kawadar. 361. — Wiersze słabe. „Wschód słońca", to reminiscencje lektury Mickiewicza. Drugi wiersz lepszy. Prosimy.

Kol. Manber. 358. — Prosimy o dowcipniejsze.

Ler. 356. — „Historja jakich wiele" już nie aktualna, a właśnie „wielkość" takich opowiadań skłania nas do nieumieszczenia.

Kol. Cwancygier. 358. — Nie.

Kol. Trybowski. — Sentymentalne i niewykończone — nie. Wiersze słabe. Prosimy o dalsze.

Pierwiastek z 444. — Unikamy takich tematów, zresztą słabe.

Kol. Frytz 444. i Matuszek 356. — Do numeru sportowego.

* * *

Wydawnictwo „Gazetki": Samorząd uczniów gimn. 358. — Współpraca samorządów: 356, 357, 358, 365, 444. — Redaktor nacz.: kol. Jurkiewicz. — Komitet redakcyjny: kol. Gąssowski, Kański (358), Estreicher Z., Estreicher L. (356), Kruczkowski B., Lesner (357), W. Goetlówna, J. Kotówna (365) Ita Dąbrowska, Wydro (444). — Kurator: Gazetki p. prof. Tadeusz Szantroch (358).

Drukarnia L. Gronusia i Ski, Kraków, ul. Stolarska 6